

*Fragment książki pt. „Jak Michał ze Lwowa do Chin zawędrował”  
autorstwa Moniki Miazek-Męczyńskiej*

## **Rozdział I**

### **Święty objawia się we Lwowie**

Ogarek świecy dopalił się z cichym sykiem, jakby czuł, że nie jest już potrzebny. Nad Lwowem wschodziło słońce. Białe światło poranka sączyło się przez krzywo zasunięte zasłony dziecięcej sypialni, a w jego promieniach wirowały drobinki kurzu, unoszące się z aksamitnego baldachimu nad wielkim łóżkiem w kącie pokoju.

– Mamo! Mamo! – głośny krzyk przerwał zaspną ciszę. Czarny kocur, dotąd zwinięty w kłębek w nogach łóżka, z oburzeniem nastroszył sierść, a kobieta drzemiąca w fotelu poderwała się gwałtownie.

Kończyła się kolejna z szeregu wielu nocy, które spędziła czuwając przy łóżku syna, na przemian martwiąc się, modląc i przysypiając. Michał leżał w gorączce od tylu dni, że sama nie była już w stanie ich zliczyć. Czasem spał tak spokojnie i cicho, że musiała wręcz sprawdzać, czy słaby oddech unosi jeszcze jego pierś. Kiedy indziej rzucał się w malignie po całym łóżku, kopiąc grubą białą pierzynę i wykrzykując niezrozumiałe słowa.

Matka bała się i tych cichych, i tych nerwowych nocy. Dziś jednak było inaczej. Około północy niespokojny dotąd Michał wyraźnie się odprężył. Na jego ustach pojawił się nawet leciutki cień uśmiechu, który odmienił zupełnie jego wycieńzoną, bladą twarz. Patrząc na śpiącego syna, matka po raz pierwszy od wielu dni i nocy także się uśmiechnęła i pozwoliła sobie na chwilę drzemki, którą tak gwałtownie przerwał dziecięcy krzyk.

Zerwała się na równe nogi i nerwowo spojrzała na łóżko. Z niedowierzaniem przetarła zaczerwienione od niewyspania powieki, bowiem Michał, jej synek, blady, potargany, ale zupełnie przytomny, siedział wśród rozrzuconej pościeli i patrzył na nią wielkimi, ciemnymi oczami, w których lśnił niezwykle blask.

– Syneczku, co ci to? Jak się czujesz? – zapytała ze zwykłą troską, podchodząc szybko do łóżka.

– Dobrze, mamu. I teraz będę już zupełnie zdrowy – odpowiedział Michał, podskakując na poduszce.

– Zdrowy, Michasiu? Jakże bym tego chciała... – westchnęła matka, z troską dotykając czoła syna. Od wielu dni tym samym gestem badała jego temperaturę, by po chwili nakładać zimne kompresy i modlić się o ustąpienie choroby. Teraz czoło Michała było chłodne i suche. Gorączka zniknęła, ale błyszczące spod niesfornej grzywki oczy syna napełniły mamę nowym niepokojem.

Chłopiec niecierpliwym gestem odsunął matczyną dłoń i wyskoczył z łóżka, nie zwracając uwagi, że kopnął stojący na podłodze nocnik (szczęśliwie pusty), który potoczył się i wpadł na kota, myjącego pracowicie jęczyzkiem swe lśniące futerko.

Kot miauknął z najwyższym oburzeniem, ale Michał nawet tego nie zauważył. Podniecony podskakiwał na jednej nodze kręcąc się w kółko i opowiadając bez chwili wytchnienia:

– Dobrze, mam, wszystko będzie dobrze. Widziałem we śnie cudowne zjawisko. Przyszedł do mnie misjonarz, cały lśniący od blasku słonecznego. Nie mogłem na niego patrzeć, bo był taki błyszczący, taki piękny, że aż oczy bolały. To był Franciszek Ksawery! Pamiętasz? Ten, na którego cześć śpiewaliśmy taki ładny psalm w naszej katedrze. Był bardzo smutny, a ja zapytałem dlaczego. A on pokiwał głową i powiedział, że Chińczyki nie znają Pana Jezusa i dlatego jest mu tak przykro. Bo tam nikt nie czyta Pisma Świętego. I „Ojcze nasz” nie mówią. I Świętej Panienci nie znają. To ja zapytałem, czy nikt tych Chińczyków nie może nauczyć o Panu Bogu.

A Franciszek się uśmiechnął i powiedział, że ja mogę. I zapytał dlaczego mu nie pomagam, tylko wyleguję się w łóżku, kiedy tylu Chińczyków nie poznało jeszcze Pana Jezusa. To ja się strasznie zdziwiłem i odpowiedziałem, że przecież jestem mały i strasznie chory, i słaby, i lekarz zabronił mi wstawać. Ale Franciszek Ksawery pokręcił głową i powiedział, że jeśli zostanę jezuitą, to będę zdrowy i silny, i zostanę misjonarzem, i pojedę do Chin! To ja się zaraz zgodziłem, a Franciszek Ksawery pogłaskał mnie po głowie i ... zniknął. Mam, mam! Będę misjonarzem! Zobaczę Chińczyków!

Mama, która nie mogła przerwać tego potoku słów, patrzyła z niedowierzaniem na syna. W długiej białej koszuli, z bosymi stopami, głową opromienioną słonecznym blaskiem, przejęty i roześmiany wyglądał jak anioł z kościelnych obrazów. Poza bladeścią twarzy nie nosił już żadnych oznak choroby, która przez tyle dni trzymała go na granicy życia i śmierci.

– To cud... – wyszeptała w końcu, a chłopiec ze śmiechem rzucił się jej na szyję. Po policzkach mamy popłynęły łzy, kiedy tuliła i całowała ciemnowłosą głowę swojego synka.

– Nie płacz, mamusiu. Będę misjonarzem, będę jezuitą, pojedę do Chin... – powtarzał Michał, powoli uspokajając się w ramionach matki. Euforia już minęła i osłabione chorobą ciało chłopca potrzebowało odpoczynku. Mama ułożyła syna z powrotem w łóżku, otuliła go kołdrą po same uszy i prosiła, by zasnął. Już po chwili powieki Michała opadły, a na twarzy rozlał się rozmarzony uśmiech. Kot ponownie zwinął się w kłębek tuż przy kolanach chłopca, pomrukując z aprobatą, bo w pokoju znów zapanował spokój.

Matka po cichu wymknęła się z sypialni.

– Muszę szybko wezwać doktora, żeby obejrzał Michasia – pomyślała. – Ale najpierw pobiegnę do kaplicy ogrójcowej, podziękować świętemu Franciszkowi Ksaweremu. Da Bóg, że Michaś wydobrzeje i zostanie jezuitą. A niechby i pojechał do tych Chińczyków, gdziekolwiek oni mieszkają. Byle mi wyzdrowiał – szeptała sama do siebie, schodząc po schodach i otwierając ciężkie drzwi kamienicy.

Na dworze przywitało ją jasne światło słońca. Bruk lwowskich ulic lśnił jeszcze po niedawnym deszczu, ale niebo było już czyste, jakby tego ranka wszelkie smutki odeszły w przeszłość.

Kobieta szybkim krokiem powędrowała w kierunku kaplicy Boymów, ufundowanej przy katedrze lwowskiej przez dziadka Michała. Jej serce było radosne i pierwszy raz od wielu, wielu dni spokojne. Choć po głowie kołatało się ciągle pytanie: „Gdzież, na Boga, mieszkają te Chińczyki?”